

ACADEMIA

Ty mów, a ja zdrów

prof. dr hab. Michał Głowiński



Instytut Badań Literackich, Polska Akademia Nauk, Warszawa

Im władza bardziej autorytarna (by nawet nie wspominać o totalitarnej), tym chętniej najdelikatniejsze krytyki ze strony innych państw interpretuje jako niczym nieumotywowane ingerencje we własne sprawy.

Czasownik „ingerować” należy do tych, których w zasadzie nie używa się w pierwszej osobie liczby pojedynczej czasu teraźniejszego, może jednak pojawić się w pierwszej osobie czasu przeszłego, ale wtedy jedynie, gdy odnosi się do działań zakończonych i takich, które się aprobuje. Takie ukiepunkowanie zarówno czasownika, jak i rzeczownika „ingerencje” wydaje się jednak stosunkowo rzadkie: ingerowałem w coś, bo nie mogłem postąpić inaczej. A więc uczyniłem to, gdy dwóch nastolatków okładało się na podwórzu, bo żywiłem obawę, że zrobią sobie krzywdę. Jestem zadowolony, bo zapobiegłem złu. Słowa te odnoszą się wszakże nie tylko do sytuacji potocznych. Powiem więcej: godne są szczególnej uwagi, gdy występują w języku polityki, zarówno wewnętrznej, jak i – przede wszystkim – międzynarodowej.

W takich sytuacjach czasownika „ingerować” również rzadko używa się w pierwszej osobie czasu teraźniejszego. Nawiązując do Johna Langshawa Austina, powiedzieć można, iż w sposób fortunny mógłby posłużyć się nim ten jedynie, kto jest absolutnym monarchą lub bezwzględnym dyktatorem, nawet gdy głowy nie przyozdabia koroną. Przypuszczam jednak, że słowa tego unikałby nawet władca mogący podejmować jednoosobowe decyzje – bez względu na to, co orzekliby doradcy, pochlebcy, by nie wspominać o ludzie bądź narodzie, na którego zwykł się powoływać przy każdej okazji, zapewniając, że zawsze i wszędzie jego sprawy ma na uwadze. Ingerencja nie kojarzy się dobrze, nie uszlachetnia naszych czynów. Najczęściej używana bywa tak, jakby zawsze dokonywali jej inni. Kiedy istniała cenzura, mówiło się o jej ingerencjach. Tak wypowiadali się ci, co nie aprobowali jej poczynań i jakże często padali ich ofiarą; jak swoje obowiązki zawodowe określali cenzorzy i ich mocodawcy, nie wiem, myślę, że jeśli posługiwali się słowem „ingerencje”, to nadawali mu sens ściśle techniczny. Mieję nadzieję, że użycie „ingerencji” w takim kontekście jest już tylko archaizmem, bo instytucja cenzury na zawsze znikła, przynajmniej w cywilizowanym świecie.

W języku polityki „ingerencje” w pewnych okolicznościach są konsekwentnie pomijane. W przypadkach takich zastępowane bywają różnego rodzaju eufemizmami bądź formułami porażającymi swym bezgranicznym cynizmem. Tak się dzieje wówczas, gdy nie chce się w ten sposób określić „naszych” działań.

W pamięci mojego pokolenia jeden, nieodosobniony zresztą, przykład utrwalił się ze szczególną siłą. Kiedy 21 sierpnia roku 1968 wojska Układu Warszawskiego wtargnęły do reformującej się Czechosłowacji, najjeźdźcy nie mówili oczywiście o ingerencji (tym bardziej nie padło słowo „interwencja”), obwieścili światu, że zatroskani o dobro ludu pracującego miast i wsi, przyjacielscy i ofiarni, przybiegli z bratnią pomocą.

W innych kontekstach „ingerencje” i „ingerować” używane są ze szczególną lubością – i odnoszą się do różnych poczynań, okoliczności, sytuacji. Ingerujemy oczywiście nie my, ingerują inni, nasi przeciwnicy, którzy oceniają nasze działania i decyzje, choć nie mają po temu żadnych uprawnień – politycznych, moralnych, jakichkolwiek innych, przypisują sobie bez żadnych uzasadnień prawo wtrącania się w nasze sprawy, wściubiają w nie nosy, choć nic ich do tego nie upoważnia. Nie odbiegnie się od prawdy, gdy się powie, że im władza bardziej autorytarna (by nawet nie wspominać o totalitarnej), tym chętniej najróżniejsze poczyny, choćby najdelikatniejsze krytyki ze strony innych państw i ich przedstawicieli interpretuje jako niczym nieumotywowane ingerencje we własne sprawy. Ingerencją w tym kontekście może być krytyka dyktatora lub takiej czy innej decyzji rządzącej partii itp. Formuła „ingerencja w...” równa się odrzuceniu nadchodzących z szerokiego świata krytycznych opinii. Dodajmy, że może się ona pojawiać z byle jakiej okazji, czasem całkiem błażej. Zakwalifikowanie czegośkolwiek jako ingerencji wyklucza możliwość dialogu, swobodnej wymiany argumentów, poszukiwania kompromisu. W pewnych, znanych także w dzisiejszym świecie, przypadkach jest realizacją takiej zasady: nie rozmawiam z tym, kto miesza się w dziedziny, które do niego nie należą i od niego nie zależą. Ty gadaj sobie, co chcesz, my i tak wiemy swoje i swoje robimy, nie możesz nam nic zrobić, twoje gadania z góry odrzucamy, jedynym właściwym dla nich miejscem jest to, które pewien krwawy dyktator określał mianem śmietnika historii. Innymi słowy: ty mów, a ja zdrów.

W pewnym miejscu tych uwag przywołałem słowo „interwencje”. Ciekawie byłoby zastanowić się nad tym, w jakim stosunku pozostaje ono do „ingerencji”. Interwencja łączy się z przymiotnikiem „zbrojna”. Kiedy mowa o ingerencji, szczęką zbroi nie słyhać. Jeszcze? ■